

Dariusz Pachocki

## Przestrzenie Edy Ostrowskiej

Wiersze Edy Ostrowskiej zawsze budziły mój wewnętrzny sprzeciw. To, co czytałem dotąd było: „nie dos'ć” albo „znacznie za bardzo”. Tak czy inaczej ich obecność w literackim wszechświecie ani mi nie przeszkadzała, ani nie ekscytowała na tyle, by z niepokojem czekać na kolejną książkę poetki. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek przyjdzie mi o tych wierszach napisać. Co więcej, trzymając w ręku ostatni poetycki tom autorki sądzę, że przemilczenie go byłoby wobec niej, jak i tych wierszy - nietaktem.

Wiersze z ostatniej poetyckiej książki Ostrowskiej pt. *Śmiech i taska* przede wszystkim ujmują tym, że zupełnie się czytelnikowi nie narzucają. Istnieją jakby pomimo, jakby przypadkowo. Nie są też hałaśliwe, efektowne, zaczepne. Raczej: stonowane, ostrożne, ale otwarte i - co najważniejsze - zostawiają czytelnikowi wybór. Nie ograniczają przestrzeni lekturowej, dają dużo wolności. Jest to nieoczywiste, a wręcz ryzykowne działanie w otaczającej nas billboardowo-neonowej rzeczywistości.

Wiersze te są naturalne i potrzebna tu jest naturalna reakcja czytelnika. Można powiedzieć, że są lekko wycofane. Robią jakby jeden krok w tył. I jest to postawa skuteczna, ponieważ czytelnik o ten jeden krok postępuje, wychodzi im naprzeciw. Dzieje się to instynktownie. Tak jak instynktownie cofamy się, gdy atakuje nas migotliwe otoczenie.

Jednak kiedy już ten krok wykonamy i wejdziemy w świat wierszy, nie zostajemy sami. Słowa, w precyzyjnie tkanych frazach, prowadzą czytelnika przez obszar, w którym łatwo się pogubić. Wszystko bierze się stąd, iż pokonujemy jednocześnie dwie przestrzenie. Ich atrybutem są zupełnie różne natury. Jednak są one powoływane do istnienia tymi samymi zakłębieniami w niezwykle lekki, niemal niezauważalny sposób. Nie ma w tym nic z pozoru i plastikowych, bezdźwięcznych konstrukcji.

Ogromną siłą tych wierszy jest to, że czytelnik traktowany jest niezwykle serio. Tak jak sama poezja

i jej temat. Dzięki temu odbiorca staje się ufny i pozwala się prowadzić przez oksymoroniczne w naturze, nierównoległe przestrzenie. Jednak w jaki sposób zbudować literacki byt, w obrębie którego „wieczne” dotyka „chwilowe

go"? Czy jest to w ogóle możliwe? I co stanowi o istnieniu dwu dopełniających się przestrzeni? Przenikanie się i dziwne dopełnianie tych nietożsamyh sfer, czasem zostaje ujęte w ramie jednego wiersza, innym razem rodzaj napięcia budowany jest pomiędzy poszczególnymi tekstami. Za ilustrację: trzywersowy imperatyw i cisza:

[...]

Zbaw mnie sam przecież  
jesteś dobry pod skórka  
chleba

Od samego początku wszystko jest jasne. Niczego tu się nie ukrywa za wydumaną metaforyką. Im dalej wnikamy, tym więcej jest nam odsłaniane. Choćby jedna z ważniejszych kwestii w omawianych wierszach - relacje. Kolejne partie tekstów ujawniają coraz więcej szczegółów.

Kto ma przyjaciela kto  
złotym gontem duszy w  
pickielną niszę nieba  
obronić ma

Ukryty dotąd przyjaciel, z obszaru domysłów, przechodzi w obszar bezpośredniości:

Ja nie mam jasności  
że to jest ten Bóg  
ten męczyzna przyjaciel  
ta droga  
[...]

Czy jest tu miejsce na jakieś niedomówienia? Zdecydowanie nie. Przeciwnie, forma wypowiedzi konstruowana jest tak, by była maksymalnie komunikatywna.

Czytelnik czuje, że jego przewodnik w obu doświadczanych przestrzeniach czuje się swobodnie. Jest niemal u siebie. Trudno orzec, do którego świata należy bardziej. Który jest domem, a który gością. Wiele wskazuje na to, że nie dostaniemy na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, choć możemy się jej domyślać. Jest dzieckiem obu, choć wyraźnie tęskni tylko do jednej z nich. Sprawia to jego niejednorodną konstrukcję. Jej część należy do *sacrum*, a część skazana jest na czas. Nasz przewodnik nie pozostawia żadnych wątpliwości. Chce być poza czasem, bo tu w obszarze jego działań nie dzieje się najlepiej:

[...]

a ja mam chore serce i duszę konająca Weź mnie do siebie  
gdzie kwitnie powietrze i życie ma smak

Każdy kolejny wiersz dopełnia spójności kształtującego się obrazu:

[...]

las samotny stoi  
na drewnianej nodze

placze rudy kot  
Weź mnie stąd nie mogę  
bo w kopalni mieszkam  
i mam węgiel zamiast serca  
trwozę

Takie słowa może wypowiadać jedynie ktoś, kto tęskni do naturalnego kontekstu swojej istoty. Wiersze niczego nie skrywają, niczego nie odkładają na potem. Zatem, śmiało można orzec, że tak mówi dziecko tęskniące za Ojcem. Otacza nas obezwładniająca konfesyjność, której nie możemy odrzucić. Proste słowa, a sprawy przecież ostateczne:

Od Boga wyszłam i do Boga  
idę z zakrzywionym nożem  
księżycu w rękę moja jest  
udręka i niepokój o życie  
wieczne udzielające się  
świętym

Obiekt pożądania też w końcu ujawniany jest w najszerszych, najprostszych słowach:

weź mnie do nieba jak  
się wprowadza do serca  
gałązkę powierza  
śpiczącą

Ktoś, kto odniósłby wrażenie, że gra się tu jedynie na wysokich tonach, powinien zwrócić uwagę na elementy równoważące i stabilizujące poetyckie obrazowanie. Wyraźną obecność podniosłych fraz koł muzyczność. Jest ona wielowymiarowa, przywoływana jest bezpośrednio:

[...]

serce do kochania nogi do tańczenia  
oczy do biegania za muzyką

Jak i wkomponowana w konstrukcję:

Zimą w lesie jeleni niesie  
czaszkę s'niegu i dwa węże na  
gałęziach strzegą wejs'cia [...]

Poetyka jest tu oszczędna, bez karkołomnych, wydumanych metafor i połączeń wyrazowych, które same są zdziwione własną konfiguracją.

Opisywanie wierszy z ostatniej poetyckiej książki Edy Ostrowskiej w literaturoznawczym idiolektie byłoby nieporozumieniem. Zatem najprościej: wiersze składające się na ten tom nie są równe, ale funkcjonują w tych samych ramach świadomej i konsekwentnej poetyki. Wartościowanie nigdy nie jest łatwe, także i tym razem.

Ile dobrych wierszy potrzeba, żeby książkę uratować? Ile modlitw poety, żeby ocalić duszę? Czy dziesięć wystarczy?

A trzy?  
Dwie?  
Jedna?

Eda Ostrowska, *Śmiech i łaska*. Ludowa Spółdzielnia  
Wydawnicza, Warszawa 2010, s. 52.

*Dariusz Pachocki*